

ROMAN POLLAK

O POWSTANIU WARSZAWSKIM

(W DRUGĄ ROCZNICĘ WYBUCHU *)

Pamięci syna, Leszka, harcerza, powstańca, podchorążego — zamęczonego na śmierć w obozie we Flossenburgu.

Już dziś ukazują się i przez wiele lat wciąż ukazywać się będą szkice, wspomnienia, obrazki, pamiątki, prace naukowe i literackie, dzieła sztuki plastycznej, które w różny sposób pozwolą nam uzmysłowić sobie, zrozumieć i odtworzyć to, co w tych dwóch straszliwych miesiącach 1944 roku przeżyła powstańcza Warszawa. Powstańcza Warszawa — a więc ta niepowrotna i jedyna, która wówczas aż pod niebo wybuchła jak wulkan i z głębin polskiej duszy jednostkowej i zbiorowej — jakby pod naciskiem tysiąca atmosfer — wyrzuciła rozpalony do białości, oślepiający swoim blaskiem, hipnotyzujący urokiem — cud najczystsze heroizmu, ofiarności, nadludzkich cierpień, gromadnych zgonów, spotęgowanego aż do świętości człowieczeństwa.

Ta Warszawa była — i już nie istnieje. Przemineła jak burza — i już nie wróci nigdy. To, co tam na miejscu po niej zostało — to są tylko strzępy, nikle, głuche, dalekie echa.

Ale do tych jedynych miesięcy, dni i godzin a nawet nieraz minut i sekund — trzeba nam wciąż nawracać jak do dni i godzin wielkiej nauki, trzeba w każdą rocznicę te wspomnienia odnawiać i w skupieniu na nowo je przeżywać.

DNO DUSZY NIEMIECKIEJ

Znakomity filozof i psycholog niemiecki Müller-Freienfels na parę lat przed r. 1930 zapuszczał sondę swej wnikliwej analizy psychologicznej w mroczną głąb niemieckiej zbiorowej duszy i wyjaśniał z daleko idącym obiektywizmem jej dziwne zagadki

*) Szkic ten powstał w pierwszą rocznicę powstania jako wyraz osobistych przeżyć autora. Teraz ukazuje się w redakcji nieco zmienionej i uzupełnionej.

i sprzeczności*). Ale nie dotarł do samego jej dna, nie odsłonił tych ciemnych sił, które jak drapieżne bestie, nie znoszące dziennego światła, tały się po kryjówkach. Tylko od czasu do czasu pomrukiem, warczeniem zdradzały swoje istnienie i wypadały z furją na żer, na pewny łup — poza swoje przyrodzone granice. Zdarzało się to zwykle w mrocznej, burzliwej dobie w historii Europy, o późnym zmierzchu całych okresów kultury albo o wczesnym ich świcie.

Müller-Freienfels nie uwzględnił niestety i nie wyjaśnił wcale uderzających tak często w dziejach Niemiec, a coraz bardziej niepokojących sąsiednie narody przejawów zbiorowego w stosunku do nich okrucieństwa. Można by wyjaśnienia tego szukać w żywym kulcie starogermańskich mitów krwią ociekających, w kulcie narodowej epepei Nibelungów, w odnawiającej się wciąż tradycji okrutnych, zdobywczych wojen z plemionami zachodnich Słowian, w sławnych „krucjatach“ krzyżackiego Zakonu tak wielbionego przez hitleryzm i niemiecką historiografię. Można by wreszcie szukać wyjaśnienia przejawów zbiorowego okrucieństwa w takich zdarzeniach, jak „sacco di Roma“ z r. 1527, jak epizody z buntów chłopskich i z wojny trzydziestoletniej w samych Niemczech. W czasie pierwszej wojny światowej odżyła znów ta odwieczna tradycja na terenach okupowanej przez Niemców Belgii i Serbii.

Kult tej właśnie tradycji i tych metod uprawiał hitleryzm i od samego zarania oswajał z nim młodzież, zaszczepiał w nią ten kult na różne sposoby, nieraz nawet przez wprost brutalne zastrzyki propagandy.

W marcu 1939 r. zwiedzałem sławne i bogate „muzeum tortur“ w starych murach Norymbergi. Zwiedzających oprowadzały wyłącznie — młode kobiety. Opisywały one z całą dokładnością a zarazem zdumiewającym spokojem różne odmiany tortur. (Może to z nich dobierano wkrótce potem — dozorczy nie do karnych obozów dla kobiet w Ravensbrück czy Stutthofie?). W tej wędrowce spotkałem się z gromadą uczennic w wieku poniżej 15 lat, oprowadzaną również przez kobietę. Widziałem twarze tych dziewcząt. Szeroko otwarte, gorączką jakąś płonące oczy, wypieki na licach. Szły jak oszołomione wrażeniami, zasłuchane, jak w bajkę, w sugestywną opowieść przewodniczki, szły przyszłe żony i matki najbliższego pokole-

*) „Psychologie des deutschen Menschen und seiner Kultur. Ein volkscharakterologischer Versuch“. Zweite, völlig umgearbeitete Auflage. München 1930.

nia. U wejścia do muzeum czekały już chciwie na swoją kolej całe gromady młodzieży szkolnej obojga płci.

Zbiorowe okrucieństwa niemieckie, podniesione w czasie ostatniej wojny do wyżyn najskuteczniejszej metody totalnej walki, stają się dla mnie zupełnie zrozumiałe w błyskawicznym oświeceniu tego niesamowitego przedwojennego wspomnienia z „muzeum tortur“ w Norymberdze.

Wbrew zasadzie, że „muzy milkną wśród szczęku oręża“ — dla Niemców właśnie wojna, i to wojna zaborcza, stwarza atmosferę, w której wyzwalają się w pełni uśpione w duszy zbiorowej energii. Wojna dopiero pozwala im na pełnię wyzycia się. Stąd odwieczny kult wojny, stąd jej głód nigdy nie nasycony. Wszak wojna i rozlew krwi to upragniona rozkosz dla najwyższego germańskiego boga Wodana!

Jakżeż pobudzająco na twórczość tego „narodu myślicieli i poetów“, który od połowy XIX w. ujarzmiony przez prusactwo przeobrażał się w „narod żołnierzy i techników“*), na jego fantazję, pomysłowość, wynalazczość, na naukę niemiecką, publicystykę i literaturę oddziaływała atmosfera minionej „wojny totalnej“, jej potworności a zwłaszcza początkowe, błyskawiczne zwycięstwa! Istna „Walpurgisnacht“ na jawie! Rozpętanie wszystkich mocy ludzkiego piekła, oszałamiająca, upajająca harmonia dysonansów! odurzający, mistyczny czar wojny i bezkarnej zbrodni!

Nurzając się z rozkosznym rechem w tych nastrojach, ulegając natchnieniom jakichś iście szatańskich Muz, Niemcy dali ludzkości serię całą nowych arcydzieł, ale nie arcydzieł piękna, wzniosłości, poetyckiego czaru, jeno arcytworów bestialstwa, koszmarności, potworności. Bo jakżeż inaczej nazwać takie upiorne zjawiska jak Oświęcim, Ravensbrück, Stutthof, Mauthausen, Flossenberg, Majdanek, Łambinowice? I nie są to twory indywidualne, ale trzeba je uznać za plody „twórczości zbiorowej“. Wszakże „twórców“ były tu setki, nawet tysiące, krzatające się żarliwie nad wydoskonaleniem wszystkich trybów i kółek tych koszmarnych machin.

Ale te wszystkie arcytwory, rozpatrywane kolejno w swej istocie przez jakiegoś estety z tejże szatańskiej szkoły (a chyba nie brakło Niemcom nawet takich specjalistów), mogłyby go znudzić swoją pewnego rodzaju monotonią, swoją systematycznością i przewagą z góry przez „naukę“ niemiecką, ustalonych metod, przepisów, regulaminów, statystyk.

*) Müller-Freienfels, op. cit. str. 227.

WARSZAWA — NAJOPORNIEJSZA

Preparat poświęcony Warszawie z okresu powstania w 1944 r. to chyba szczyt tej właśnie „twórczości”. Było to niewątpliwie coś niezwykłego, coś odmiennego, wyjątkowego w tej serii arcytworów. Nie była to jednak wcale jakaś niesłychana dotąd improwizacja. Niemcy improwizować nie lubią i nie umieją. Wszak we wszystkim, co robią, musi być jakiś sens, jakiś plan możliwie gruntownie opracowany. Od czegoż niemieckie mózgi tak dobrze już w tej dziedzinie w czasie tej wojny wyszkolone? Od czegoż sztabowcy wszelakiego autoramentu?

Skoro więc ten zniechęcony naród, który pierwszy ośmielił się wystąpić zbrojnie przeciw najżywośniejszym interesom Niemiec i mimo poniesionej klęski, mimo zajęcia całego swego obszaru, mimo wszelkich sposobów ciężenia go i niszczenia — dotąd nie dał się złamać i upokorzyć, nie wyrzekł się walki zbrojnej, ale bez przerwy zarówno na wszystkich frontach jak i na terenach zajętych przez Niemców z bronią w ręku walczy i czeka tylko na sposobną chwilę, aby się zerwać do groźnego powstania, skoro ten zniechęcony naród, to „natchnienie Europy”, nie uległ dotąd i w błoto wdeptać się nie dał, to należy raz wreszcie — ale już radykalnie, na zawsze uporać się z tą „polską hydrą” tysiagogłową!

Warszawa jest ze wszystkich zdobytych stolic najoporniejsza, najbutniejsza! Zawiodły w niej wszystkie możliwe, stosowane dotychczas sposoby terroru, na terenie Polski prędeż niż gdzie indziej użyte, a tu w Warszawie jeszcze spotęgowane. Nie pomogły publiczne egzekucje, przeróżne obozy, łapanki przy pomocy psów i lassa, milionowe kontrybucje, zamknięcie teatrów, bibliotek, szkół ogólnokształcących i akademickich. Nie pomogła propaganda w jedynym na przeszło milionowe miasto oficjalnym codziennym piśmie, otoczonym powszechną pogardą polskiego ogółu. Warszawa na gwałt odpowiadała gwałtem, na terror terrorem — najpierw przez listy ostrzegające, potem przez przeważnie udane, a świetnie organizowane zamachy na głównych zbirów. Konfiskaty i kontrybucje odwzajemniała zakonspirowaną konfiskatą milionowych sum tuż przed ich wywiezieniem, odcięcie od źródeł kultury — spotęgowaniem bogatej prasy podziemnej i różnorodnych wydawnictw, tajnymi odczytami, teatrem, bogato rozwiniętym tajnym szkolnictwem. Dotkliwie i nieznużenie odwdzięczała się wreszcie Warszawa okupantom swoim niewyczerpanym i pełnym złośliwości dowcipem, który huczał

i przelewał się przez miasto jak burza i rozchodził po całym kraju w postaci anegdot, kalamburów, nalepek, plakatów, brukowych piosenek, wierszyków, hasel, napisów na murach i rysunków.

Mimo wielotysięcznej załogi, kilku batalionów policji, oddziałów SD, SS, Łotyszów, szaulistów itd. — tu właśnie, w Warszawie i okolicy przygotowywały się bez przerwy tysięczne podziemne zastępy armii polskiej do zbrojnego powstania, a szerokie kręgi ludności do współdziałania w tym zrywie. Do tego zbiorowego wysiłku parły okoliczności coraz to bardziej dla wszystkich widoczne: nieustanne biologiczne wyniszczanie i zbiorowa przed nim ucieczka w ramiona konspiracji i dywersji, zbliżająca się wciąż wielka klęska Niemiec a przede wszystkim ciągle brutalne poniewieranie godności narodu, który przecież bez przerwy walczył o swoją przyszłość i przenigdy nie mógł się pogodzić z tym, aby być tylko przedmiotem w rozgrywających się wypadkach.

POWSTANIE NIEUNIKNIONE

Z wiosną 44 roku wybuch powstania wydawał się dla mieszkańców Warszawy oczywistą sprawą nie miesięcy już, ale wprost tygodni. Mogło to poważnie zaciążyć na groźnej dla Niemców ogólnej sytuacji wojennej, utrudnić bardzo ruchy wojsk na froncie wschodnim i przyspieszyć ostateczną katastrofę a zarazem narazić życie wielu tysięcy niemieckich rodzin paszujących na polskich terenach.

Radykalnym zabiegiem ochronnym mogło być sparaliżowanie głównego ośrodka buntu — milionowej Warszawy. Skoro więc całkowicie zawiodła nadzieja pozyskania Polaków do wspólnej walki z Rosją sowiecką, skoro wszelkie obietnice autonomii zawiodły, skoro na żądanie 100.000 ludzi do prac okopowych stało się tylko kilkudziesięciu — wtedy zaczął w mózgach niemieckich dojrzewać nowy „arcytwór“, jakiego dotąd Europa nie widziała.

Jeśli się jeszcze w ostatniej chwili nie uda porwać choćby części ludności polskiej do walki z Sowietami, wtedy należy doraźnie wysiedlić wszystkich mieszkańców a równocześnie możliwie wysoką liczbę młodzieży i mężczyzn po prostu w krótkiej drodze zlikwidować. Resztę rozpędzić na cztery wiatry na tułaczkę i ponieważ samo miasto systematycznie zniszczyć, zamienić w pustkowie pełne gruzów. Będzie to zabieg odstrasżający całą Polskę od wszelkich prób zbrojnego ruchu. Zmusi on ją do

uległości, zaprzątnie uwagę społeczeństwa na czas dłuższy, utrudni pracę podziemną i mocno przyspieszy proces „biologicznego niszczenia“ znenawidzonego plemienia.

Mniejsza o to, w czyjej głowie taki plan się urodził. Dość, że plan taki bezwzględnie istniał już na kilka miesięcy przed powstaniem, zatwierdzony został przez odpowiednie władze i przeznaczony do wykonania w odpowiedniej chwili. Zaczęto przygotowania do obrony miasta zarówno na wypadek powstania jak i na wypadek ataku sowieckiego. Powstały setki bunkrów betonowych, całe systemy rowów i schronów zwłaszcza w dzielnicach zamieszkałych przez Niemców, zabezpieczono lotniska, szpitale wojskowe i składy, zgromadzono zapasy żywności.

Szatański plan został w znacznej części wykonany. Ostatecznie udało się w 90% zniszczyć miasto, wyniszczenie ludności udało się co najmniej w 40%, co też było „zyskiem“ poważnym, choć zadowolić stanowczo nie mogło.

Ale zanim stało się to straszliwą rzeczywistością, wybuchło powstanie dnia 1 sierpnia 1944 r. o fatalnej ze względu na porę dnia godzinie 5-ej po południu.

Nie tu miejsce roztrząsać, czy dzień wybuchu był trafnie obrany, czy powstanie było dostatecznie militarnie i dyplomatycznie przygotowane i w broń niezbędną zaopatrzone, dlaczego tak późno przyznano powstańcom prawa kombatantów, dlaczego równocześnie nie wybuchło powstanie na prowincji, dlaczego nie zapewniono sobie uprzednio pomocy aliantów, a zwłaszcza Związku Radzieckiego, czy dopuszczenie do kapitulacji „rejonami“ zamiast kapitulacji generalnej nie było jednym z wielu ciężkich błędów dowództwa. Ktoś inny prędzej czy później wyjaśni te zasadnicze pytania. Tutaj dość stwierdzić bez względu na wszystkie zastrzeżenia, wątpliwości i niejasności, że od dłuższego czasu powstanie w Warszawie wciąż wisiało w powietrzu.

Zbyt wiele już nagromadziło się w tym mieście materiałów palnych w dosłownym i przenośnym znaczeniu, zbyt silnie wezbrała pogarda dla tzw. „wyższej kultury“ Niemców, odraza do ich pychy i brutalności, nienawiść i żądza odwetu zbiorowego za nieskończony łańcuch krzywd i potwornych okrucieństw. Wysoki procent inteligentów skupionych tu w czasie wojny z różnych stron Polski, wielotysięczne rzesze uświadomionych robotników i rzemieślników, masy zapalnej młodzieży, kilkuletnia wreszcie intensywna praca podziemna —wszystko to złożyło się na potężny ładunek dynamitu. Dodajmy coraz nowe wieści o kłę-

skach, objawy coraz bezładniejszego odwrotu Niemców ze wschodu, gromadną ewakuację rodzin niemieckich i instytucyj.

Wobec tego Warszawa nie chciała i nie mogła być obojętną, bierność w takich warunkach wydawała się tchórzostwem, wyrzeczeniem się godności narodowej, zdaniem się na łaskę losu.

HEROIZM BEZ PRECEDENSU

Kilkakrotnie odkładany termin wybuchu stał się więc rzeczywistością. Rzuciła się do walki zorganizowana w tym celu część mieszkańców i w krótkim czasie poszła za nią reszta, współdziałając według swych możliwości. Ruch zbrojny przemienił się w powstanie ludowe w pełnym tego słowa znaczeniu. Obok żołnierzy-powstańców ze wszystkich warstw społecznych, mężczyzn w sile wieku, czynny udział w powstaniu wzięła ogromna liczba kobiet, często żon powstańców, ich matek i sióstr, dziewcząt pełniących bardzo odpowiedzialne i niebezpieczne funkcje łączniczek i sanitariuszek w pierwszej linii frontu, oddały się do dyspozycji dowództwa setki księży i zakonników obojga płci, tysiące osób starszych i młodzieży aż do małych chłopców i z całym oddaniem się świętej sprawie pracowały w różnych gałęziach służby pomocniczej, szpitalnej, technicznej, informacyjnej, aprowizacyjnej. Nie można tu pominąć stwierdzenia, że wszystkie te prace bez żadnego wyjątku prowadzone były w zasięgu ognia artylerii wszelakiego kalibru, w zasięgu działania min burzących i zapalających, czołgów i bomb rzucanych raz po raz przez złowieszcze i drapieżne „Stukasy“. A całemu temu zespołowi z naszej strony można było przeciwstawić tylko karabiny ręczne w bardzo niedostatecznej liczbie, granaty i wyjątkowo tylko broń automatyczną.

Mimo widocznego już w pierwszych dniach niepowodzenia, mimo że dowództwo zawiodło od samego początku, mimo jaskrawej dysproporcji sił i środków walki — powstańcy wielokrotnie atakowali i odparci krwawo znów wracali do ataków. Były to walki stracenców gnanych furją entuzjazmu, żądzą zemsty, wiarą w zwycięstwo prawdy i sprawiedliwości nad bezmiarem krzywdy. Rzucali się bez wahania w odmęt walki, nieraz tylko z granatami w rękę, zapędzali się w sytuacje bezradziejne, ginęli dziesiątkami pod gradem kul broni maszynowej, niszczyli i zdobywali czołgi, karabiny automatyczne, amunicję, betonowe bunkry, brali jeńców. Wprost oszałamiali nieraz wroga swoim fanatyzmem, brawurą, bohaterstwem.

Ale już po kilku pierwszych dniach jasnym się stało, że ten zryw żywiołowy musi się zakończyć klęską. Mimo to przez przeszło dwa miesiące trwała walka coraz bardziej beznadziejna z wrogiem, z ogniem, a wreszcie i — głodem. Wszelkie wysiłki miazdżyła przewaga maszyn i narzędzi niszczenia. Niemcy zacieśnili obszar objęty powstaniem, odcięli go od pomocy zewnętrznej, rozdzielili na szereg rejonów coraz trudniej ze sobą się komunikujących.

Ci, których nerwy wytrzymać nie mogły wzmagającego się napięcia i szarpaniny, koszmaru okropności, mieli możliwość wyjścia z miasta z białymi płachtami w rękę w oznaczonych porach dnia. Gdzieś z końcem sierpnia czy początkiem września ogłosił przez ulotki komendant sił niemieckich na obszar Warszawy generał von dem Bach, że „kierowany uczuciami ludzkimi, świadom swojej odpowiedzialności wobec wspólnego nam Boga — chce dać najszerszym rzeszom możliwość bezpiecznego opuszczenia miasta i udania się pod opiekę oddziałów niemieckich“.

Część ludności skorzystała z tej gwarancji i grupami opuszczała miasto. Wyszły tak dziesiątki tysięcy i znalazły się w straszliwym obozie w Pruszkowie, gdzie masami ginęły na czerwonkę.

Wyłączając oddziały powstańcze, walczące do ostateczności — można by pozostałą w mieście ludność podzielić na dwie gromady. Jedną, mniejszą — stanowili ci, co spazmatycznie przywarli do zachowanych resztek swego mienia, sprzętów, pamiątek, zbiorów, kosztowności — i rozstawać się z tym za żadną cenę nie chcieli lub też nie mogli się zdobyć na decyzję rozstania. Druga, znacznie liczniejsza gromada, to ci, co pozostając na terenie walki chcieli przez to zamanifestować swoją solidarność z walczącymi, pomagać im według możliwości, ci, co w tych dniach tragicznych zachłysłeni się atmosferą wolności i — cokolwiek by potem miało ich spotkać — nie chcieli żyć dalej w niewoli, skoro teraz wreszcie znów się poczuli wolnymi. Dzielili się oni wszystkim z powstańczą bracią, żyli jej życiem, nadzieją i — męką. Przejęci heroizmem walczących żywili się nim jak anielskim chlebem, żyli jakby w zachwycie, na przełęczu między życiem a śmiercią i wraz z walczącymi dźwigali ten może najcięższy ze wszystkich krzyżów, jakie przypadło nam dźwigać w ciągu dziejów narodu.

Przez przeszło dwa miesiące z górą milionowe miasto pławiło się we krwi i ogniu coraz to większych pożarów jak wyniosły,

ofiarny stos — w obliczu odrętwiałej z przerażenia Polski, w obliczu opętanych wściekłością Niemców i zdumionego świata. Widowisko, zaiste, jedno z najtragiczniejszych w historii!

Powstańcy stawali często przed potwornościami, które przynosić musiały do ziemi ich rycerskie dusze, łamać ich hardość, powlekać mgłą rozpacz jasne, płonące oczy.

Oto na poszczególnych odcinkach ku liniom naszym podsuwają się Niemcy pod osłoną całych kolumn ludności polskiej, przemocą z domów wypędzonej. Do takiej osłony biorą głównie kobiety albo nawet rannych powstańców. Za nimi, pelzając tchórzliwie, podkrada się niemiecka tyraliera.

Oto jako osłona czołgu ruszającego do ataku posuwa się grupa mężczyzn skrepowanych i powiązanych drutami.

A tam na czołgu widać przywiązaną, wziętą do niewoli polską łączniczkę. Oszolomieni powstańcy wstrzymują ogień. Czołg podsuwa się blisko i otwiera morderczy ogień. Dowódca powstańców zmuszony jest wydać rozkaz otwarcia ognia. Łączniczka ginie od bratnich kul.

Coraz straszliwsze stawały się warunki walki na wysuniętych albo odciętych już placówkach. Mimo to ponawiały się wciąż szaleńcze wypadki przy użyciu paru ręcznych granatów i butelki z benzyną, uwieńczone tu i ówdzie zniszczeniem lub zdobyciem czołgu, bohaterские wyprawy patroli sanitarnych po ciężko rannych, przekradanie się podziemnymi kanałami łączniczek brodzących po pas w wodzie ku odciętym rejonom. Codziennym zjawiskiem stawał się bezwiedny, pełen prostoty heroizm, cudowne akty poświęcenia się dla towarzysza broni, dla dziecka czy rannego powstańca, wynoszenie nieznanych osób z odmętów szalejącego pożaru, zgony osłonięte czarem uśmiechu. Tworzyła się jakaś urzekająca psychoza poświęcenia się, determinacji gotowej na wszystko i wprzęgała ludzi w łańcuch braterstwa, w jakąś wielotysięczną gromadę ofiarników wielkiej sprawy.

W atmosferze walczącej Warszawy dochodziły do wyrazu w zbiorowej duszy polskiej najcenniejsze skarby człowieczeństwa, rozblyskały najwyższe wartości kultury duchowej. Mocniej i żywiej biły serca, znikwały społeczne różnice, zanikał zwykły przedział między myślą a czynem. Żyło się jakby na granicy światów, w oczekiwaniu niezwykłych, wielkich wydarzeń, wobec których ludzkie jednostkowe życie w sen przelotny, w chwili tylko ból się przemienia. W zbiorowych modlitwach pełnych skupienia, w katakumbowych nabożeństwach, w odwiecz-

nym, potężnym hymnie „Święty Boże“, chyba nigdy przedtem nie wstrząsającym tak do głębi — biło w niebieskie bramy wołanie o odwrócenie szatańskich mocy, o Bożą sprawiedliwość nad szalejącym światem.

STARCIE DWÓCH KULTUR

A równocześnie po tamtej stronie frontu pienila się wściekłość, rozpętały się najniższe instynkty w orgiach, w masowych, najohydniejszych zbrodniach. Niemiecka, pierwotna dusza zbiorowa występowała w całej swej nagości i brutalnej prawdzie. Upajała się własną mocą, materialną przewagą, potęgą wszechwładną. Była to również zbiorowa psychoza tym powszechniejsza, że nie tylko nie hamowana, ale nawet podsycana ze strony władz przez zapewnienie „wolnej ręki“, awansu i urlopu po zdobyciu Warszawy, swobody w zabieraniu zrabowanych rzeczy, bezkarności całkowitej, a nawet wyróżniana przez wojskowe odznaczenia.

Ten kontrast dwóch ideologii, dwóch kultur, dwóch typów życia nigdzie w czasie tej wojny nie wystąpił w takiej jaskrawości, nie przeświecił samej istoty dwóch społeczeństw takim błyskawicznym światłem jak właśnie w warszawskim powstaniu.

Choć generał von dem Bach wielkodusznie przyrzekał powstańcom za złożenie broni „życie, pracę i chleb“, poszczególne rejony Warszawy broniły się do ostateczności, tj. do chwili, kiedy już wyczerpywała się amunicja, kiedy brak wody unieвозмоżliwił przebywanie w obrębie palących się zgłiszcz i kiedy głód zaczął siły podcinać, a dalsza walka już tylko w masowy mord mogła się przemienić. W tej zapamiętałej, fanatycznej, do ostatecznych kresów możliwości prowadzonej walce był wstrząsający, w niebo bijący krzyk protestu przeciw materialnej przemocy i zimnej, na ilości opartej kalkulacji, protest żywej prawdy nieśmiertelnego ducha przeciw prawom brutalnej mechanizacji życia i człowieka.

Przez pierwsze dwa tygodnie miażdżono powstanie przez masowe egzekucje nie tylko wziętych z bronią w rękę powstańców przezywanych uparcie „bandytami“, ale także bezbronnych więźniów, starców, kobiet i dzieci. Równocześnie niszczone ogniem atakowany rejon. Odkąd zaś państwa walczące z Niemcami ogłosiły uznanie powstańców za kombatantów, wzmożyły się techniczne sposoby niszczenia przez czołgi, miny, lotnicze bomby i ciężką artylerię. Dla Niemców kapitulacja każdego rejonu

oznaczała dalsze zwierzęce ćwiartowanie żywego wciąż organizmu znienawidzonej i sponiewieranej Polski. Po odprowadzeniu powstańców następowała przymusowa ewakuacja całej ludności, dobijanie maruderów, rabunek i gwałty po drodze do obozu ewakuacyjnego, podpalanie szpitali wraz z personelem sanitarnym i rannymi.

W gruzach Warszawy znalazło grób w czasie powstania co najmniej ćwierć miliona mieszkańców. A gdy już ostatni rejon się poddał, gdy ludność całkowicie wyewakuowano lub wyniszczono przez masowe mordy i pożary w schronach, w szpitalach, pod gruzami walących się domów, gdy straszliwą pustką zionęły upiorne widma ulic zaludnione tylko trupami — wtedy nastąpił ostatni akt potwornej tragedii: wyjeżdżały specjalne brygady ogniowe i rozwijały akcję planowego niszczenia ogniem, wysadzania dynamitem.

Na męczeńską, zupełnie bezbronną już, dumną ongiś i tak hardą stolicę, na jej zabytki kultury i zbiory, na dorobek dziejowy wielu pokoleń narodu rzucili się niemieccy oprawcy i rozpoczęli niesamowite widowisko — jakżeż zgodne w stylu z wiekowymi tradycjami swego plemienia — walkę zezwierzęconego człowieka nie z człowiekiem już, ale z widomymi wytworami jego pracy, z przedmiotami jego kultu, relikwiami jego przeszłości. To nie był rabunek, grabież — to było tylko niszczenie, szalał profanacji, nowe „Sacco di Roma“ w roku od narodzenia Chrystusa tysięcznym dziewięćsetnym czterdziestym i czwartym!

Dnia 16 grudnia rozwalono na części wspaniały pomnik Ponia-towskiego, dłuta Thorwaldsena, czcigodny symbol żołnierskiego honoru i męstwa, obalono kolumnę Zygmunta III, przez grób Nieznanego Żołnierza przetoczyły się ciężkie czołgi, spalono bezcenne zbiory Biblioteki Narodowej, w grudniu 1944 r. też w ru-mowisko zamieniło się Stare Miasto, wysadzono w powietrze Zamek Królewski a potem pomnik Mickiewicza.

„Sieg Heil!“ „Sieg Heil!“

Trzeci okrzyk miał w parę miesięcy później zamrzeć na po-bielających z przerażenia wargach.

* * *

Opuszczone przez swoich właściwych mieszkańców dzielnice Warszawy przemieniały się w upiorną dżunglę. Grasowały po nich tylko bandy niemieckich „Räumungs-Kommando“, rabusiów polskiego mienia, męty społeczne z najbliższych okolic szukające

łatwej zdobyczy, żerujące na tysiącach niepogrzebanych trupów szczury i dziczale koty.

Po pewnym czasie dopiero dopuszczono do miasta bardzo nie-liczne grono upoważnione do ratowania zbiorów bibliotecznych i muzealnych. Były to tylko pozory łaskawości, bo możliwości tego grona były minimalne w stosunku do ogromu klęski. Za to tym szybciej i intensywniej pracowały oddziały niszczycielskie.

Warszawa — zgodnie z pierwotnym planem — miała się przeobrazić w największe w tej wojnie cmentarzysko, gigantyczny wyraz niemieckiej potęgi w stylu odwiecznych starogermańskich mitów.

Kilkaset tysięcy ludności Warszawy wypędzono na bezdomną tułaczkę przez osławiony obóz w Pruszkowie. Starsi, chorzy, matki z małymi dziećmi pozostali w kraju, resztę wywieziono do obozów pracy w Niemczech. I znów w tej drodze krzyżowej „biologiczne niszczenie“ zbierało obfite żniwo.

Ostatni arcytwór niemieckiej pomysłowości wojennej mimo powstania stał się w znacznej mierze żywą rzeczywistością.

W OCZACH NIEMIECKICH

Pełny obraz warszawskiego powstania, całe bogaństwo jego treści, jego dynamikę, jego rolę w tej wojnie — nieprędko i niełatwo ogarniemy w całości. Wspomnienia uczestników, opisy, pamiętniki, dokumenty złożą się na osobne wielkie archiwum. Specjalny dział zajmą w nim relacje samych Niemców.

Jakimi oczyma patrzył, co czuł i co myślał o tym powstaniu Niemiec oficer czy prosty szeregowiec, który brał w nim czynny czy bierny udział i był naocznym świadkiem tych zdarzeń? Przedwojenna i wojenna już propaganda nieustannie wzmagala wiadomości o „polskich okrucieństwach“, o „odwiecznych germańskich ziemiach nad Odrą i Wisłą“ i podsycala wrodzoną drapieżność wraz z gwałtownym powiększaniem się okupowanych obszarów. Coraz bardziej uśmiechało się szaremu Michlowi wygodne i obfitujące we wszelkie rozkosze powojenne życie w charakterze pana, plantatora na podbitych i na zawsze do niemieckiego raju przyłączonych ziemiach. Wszakże już zawczasu wyznaczono imiennie bardziej „zasłużonym“ majątki, posiadłości, wille na obszarach polskich. Niemiecki raj w „nowej Europie“ stawał się coraz więcej prawdopodobny.

Ale gdy hiobowe wieści ze wschodu, południa i zachodu zaczęły się mnożyć, gdy wzmagalo się wciąż bombardowanie Niemiec, gdy obszar zajętej Europy szybko zaczął się zmniejszać,

przyszło do objawów reakcji, reakcji niemal jedynej, na jaką Niemcy umieli się zdobyć przez cały czas wojny, jedynej zbiorowej reakcji, najzupełniej zresztą zgodnej z niemiecką psychiką.

Był nią — szal wściekłości.

Nie zwracał się on przeciw sprawcom zbliżającej się niesłychanej klęski, przeciw rządzącej partii, bo to było dla niej i niebezpieczne i niepożądane, ale został ten szal wściekłości sprytnie skierowany po linii najmniejszego oporu — przeciw wszelakiego rodzaju rzekomym winowajcom wojny, a więc także przeciw tym, którzy pierwsi stanęli na drodze niemieckiej ekspansji, tj. Polakom, a więc w pierwszym rzędzie przeciw ich znieprawionej stolicy.

Wobec tego czynny udział w niszczeniu Warszawy i jej ludności stawał się czynem patriotycznym, zasługiwał na wyróżnienie, pochwałę, na krzyż żołnierskiej zasługi, na gloryfikację wobec przyszłych pokoleń.

Nie braknie nigdy w świecie takich obrońców niemieckiego narodu, którzy to wszystko uparcie będą nazywali wymysłami przeczulonej polskiej fantazji. Ale o tym wszystkim jednak wołać będą zawsze na cały świat i poprzez wieki ruiny bohaterkiej Stolicy Polski, jej gruzy przesiąknięte obficie krwią, jej podziemia, piwnice — nowoczesne katakumby.

Równocześnie nie przestaną one nigdy potwierdzać i głosić wielkości i wzniosłości ofiary złożonej w owe pamiętne tygodnie przez ówczesną ludność Warszawy — na rzecz najwyższych świętości żywego narodu. Powstanie to było wielkim zbiorowym protestem ducha przeciw fizycznej przemocy, ducha, który ostatecznie i mimo wszystko musi zwyciężyć!

Czy kapitulacja Warszawy, zniszczenie miasta, gehenna jego mieszkańców wytrąciła broń z rąk Polaków?

Walczyły dalej z Niemcami z tym większą zaciętością dywizje polskie w ramach armii ZSRR, dywizje polskie na półwyspie włoskim, w Holandii i północno-zachodnich Niemczech, — tym ofiarniej pełniły swoją twardą służbę polskie eskadry lotnicze na zachodnim froncie.

Zaprawdę, bardzo wysoką jest cena, którą opłacamy naszą przyszłość i nasze prawa do pełnej suwerenności.

CZŁOWIEK ...

Już w pierwszym dniu powstania zostałem odcięty od moich najbliższych, którzy znaleźli się od pierwszej chwili aż do końca

września między liniami obu walczących stron. Ja zaś tułałem się od jednego końca Mokotowa, zajętego przez powstańców, do drugiego najpierw w pobliżu szkoły Naruszewicza, potem w gościnnej stolarni w pobliżu gniazda niemieckiej żandarmerii przy ul. Dworkowej, a wreszcie znalazłem się pod życzliwą opieką S.S. Urszulanek przy ul. Puławskiej.

Pod koniec sierpnia zgłosiłem się ochotniczo jako kapitan rezerwy do dowódcy rejonu Mokotowa o przydział. Ale on tego zgłoszenia ze względu na mój wiek nie chciał uwzględnić. Starałem się więc w miarę możliwości w moim mocno ograniczonym zakresie być pożytecznym dla sprawy.

Dnia 27 września, w dwa dni po kapitulacji rejonu Mokotowa, opuściłem ruiny domu, w którego piwnicach przez szereg dni znalazłem przytułek. Jak przedziwny wiatyk unosiłem z sobą z tych katakumb wspomnienie pożegnania z ciężko ranną Matką Zdzisławą i jej opiekunką M. Konstantyną. Zaopatrzony miłosiernie przez Boga i dobrych ludzi na dalszą pielgrzymkę, z węzłem w rękę ruszyłem z gromadką wysiedleńców ulicą Puławską w stronę Piaseczna i obozu w Pruszkowie, którego zdołałem szczęśliwie uniknąć.

Gdzieś na skrzyżowaniu dróg siedziało na przydrożnym wale kilku robotników pracujących przy kopaniu rowów. Przyglądali się nam uważnie, z wyraźnym współczuciem.

Jeden z nich miał w rękę bochenek chleba. Ukroił szybko sporą kromkę, posmarował sztucznym miodem, podszedł spiesznie do mnie i wręczył mi z jakimś serdecznym gestem.

Wziąłem ten chleb z jego rąk jak urzeczony. Wypowiedziałem parę słów podziękowania i ruszyłem w dalszą drogę wpatrzony w ten osobliwy dar, uświadamiając sobie z wolna to niezwykle spotkanie i przeżycie. Wydało mi się ono wprost symboliczne.